

W cyfrowych kazamatach



EWA
ROZPĘDOWSKA

W dawnych czasach rabunek był stosunkowo prostym, ogólnodostępnym rzemiosłem. Wystarczyło zaopatrzyć się w nóż czy inne budzące respekt narzędzie i zaciąć się w ciemnej uliczce na potencjalną ofiarę.

Taki model biznesowy funkcjonował przez tysiąclecia. Problemem była jedynie jego wydajność. Nawet najbardziej sprawny rzeźmieszek mógł w ciągu jednego dnia „obsłużyć” jedynie kilka osób. Wynalezienie lokomotywy w XIX wieku w znacznym stopniu zwiększyło możliwości i poziom zysków rabusiów. Napadając na pociągi, już jako zorganizowany gang, mogli jednego dnia „oskubać” około 300 osób. Jednak prawdziwy przełom przyniosła era nowoczesnych technologii.

Globalna wioska. Dla internetowych przestępców prawdziwy raj na ziemi. Miliony potencjalnych, często niczego nieświadomych ofiar. Nie potrzeba przebrania,

broni, worków na łupy. Wystarczy skryć się za ekranem monitora, by za pomocą kilku kliknięć dokonać kradzieży i sprytnie zatrzeć ślady, poruszając się wirtualnymi, okrężnymi drogami.

Spektakularnych przykładów tu nie brakuje. W 2007 roku w ataku na sieć sklepów detalicznych hakerzy wykradli numery kart kredytowych 94 milionów klientów. Cztery lata później, w wyniku „(...) włamania do sieci dla graczy Sony PlayStation (...) intruzi uzyskali dostęp do 77 milionów kont użytkowników, zdobywając numery kart kredytowych, nazwiska, adresy, daty urodzenia i dane logowania poszkodowanych osób”. Kilka lat temu łupem 17-letniego hakera padły dane bankowe 110 milionów Amerykanów. Rok później, wraz z kolegami, przywłaszczył sobie 1,2 miliarda nazw użytkowników, haseł i innych poufnych danych z 420 tys. stron internetowych.

Włamanie do pojedynczego komputera przeciętnego użytkownika jest w tym kontekście zadaniem śmiesznie łatwym. Przeciętnie zajmuje jedynie kilka minut. Łupem hakera może paść dosłownie wszystko: poczynając od haseł, poprzez dane osobowe, operacje finansowe, korespondencję mailową, na informacjach zapisanych na twardej dysku komputera kończąc.

Jeden z dziennikarzy amerykańskiego magazynu poświęconego nowoczesnym

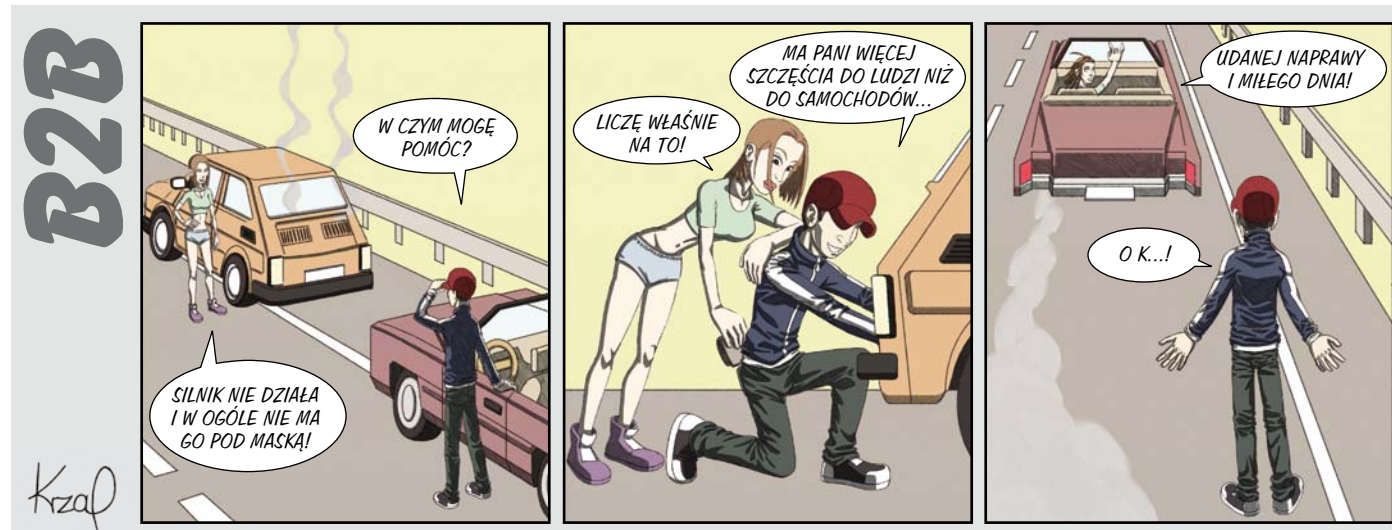
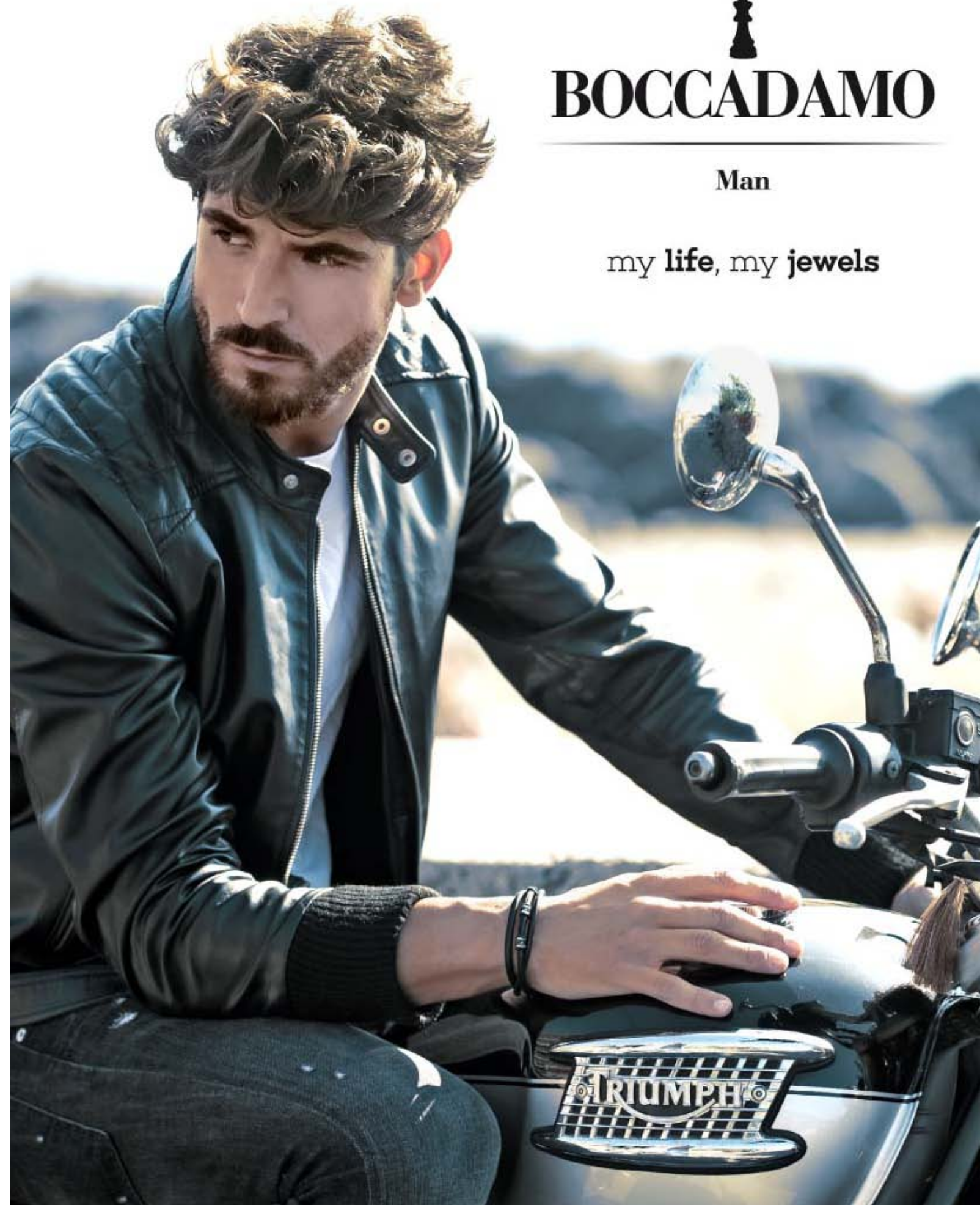
technologiom opisał historię, jaka stała się jego udziałem. Włamywacz uzyskał dostęp do jego konta, posługując się przydatną aplikacją „znajdź mój telefon”. Po zlokalizowaniu wszystkich urządzeń elektronicznych, z których korzystała ofiara, zneutralizował je po kolei. Tak znikły wszystkie gromadzone przez lata informacje, wyparowały rodzinne zdjęcia i dokumenty, korespondencja i dane adresowe znajomych osób. Haker przejął konta na Facebooku i Twitterze, by tam, posługując się ukradzioną tożsamością, kompromitować dziennikarza. W toku prowadzonego śledztwa okazało się, że do przeprowadzenia całej operacji wystarczył adres (z Google) i dwie ostatnie cyfry numeru karty kredytowej z konta w Amazon.

Hakerem nie trzeba się urodzić, choć odrobina talentu nie zaszkodzi. Wszystkiego można się nauczyć w tzw. cyfrowym podziemiu samodzielnie lub pod okiem starszych, biegłych w rzemiośle opiekunów. Informacje potrzebne do unicestwienia czyjegoś „cyfrowego życia” są łatwo dostępne dla każdego, kto przy odrobinie specjalistycznej wiedzy okaże się wystarczająco kreatywny. Łudzimy się, myśląc, że zainstalowanie profesjonalnego oprogramowania antywirusowego i antywłamaniowego rozwiąże ten problem. Z badań wynika, iż takie aplikacje wykrywają jedynie około 5% pojawiających się zagrożeń.

BOCCADAMO

Man

my life, my jewels



FOT. ARCHIWUM